

# Lato u TIFFANYEGO

*Jeden pierścionek. Dwa śluby.  
Wakacje pełne niespodzianek*



## KAREN SWAN

BUKOWY LAS

– Nie chcesz, żebyśmy kupili razem mieszkanie, mieli dzieci, wyznaczili datę ślubu... To wszystko tematy tabu, o których nie wolno przy tobie nawet wspominać. Pomijamy je, a powietrze w tym mieszkaniu coraz bardziej się zagęszcza.

– Przestań! – krzyknęła i zerwała się na równe nogi. – Nie masz prawa mi tego wyrzucać, jakby te sprawy nie były dla mnie ważne!

– Są dla ciebie ważne, tylko że nie chcesz o nich rozmawiać. Jestem jedyną osobą w tym związku, która zdaje się żywić nadzieję, że to wszystko do czegoś prowadzi.

– Nieprawda!

– Nie? W takim razie powiedz: jak nas sobie wyobrażasz za pięć lat? Gdzie będziemy mieszkać?

Zdesperowana Cassie wyrzuciła ręce w górę.

– Skąd mam to wiedzieć?

– W takim razie za dziesięć lat. Co będziemy wtedy robić?

– Nie mam pojęcia! – krzyknęła, zaciskając dłonie w pięści, i tupnęła nogą. – Nie potrafię już myśleć takimi kategoriami. Ja tylko...

– Żyjesz chwilą. Wiem! Boże, jak dobrze to wiem! – Henry przewrócił oczami. Stał teraz przed nią. – Problem w tym, Cassie, że mnie to nie pasuje. Już nie.

*Lato*  
TIFFANY EGO



KAREN SWAN

*Lato*  
TIFFANYEGO

przełożyła  
Maria Borzobohata-Sawicka

BUKOWY LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Summer at Tiffany's*

Copyright © Karen Swan, 2015

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish translation by Maria Borzobohata-Sawicka, 2021

Copyright © for the Polish edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2021

ISBN 978-83-8074-358-8

Nr 21000019

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cesarz

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: © Shutterstock: Carlos Amarillo, vvvita,  
ian woolcock

REDAKCJA: Anna Pochłódka-Wątopek

KOREKTA: Iwona Huchla

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las

ul. Sokolnicza 5/21, 53-676 Wrocław

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



DRUK I OPRAWA: Abedik S.A.

*Dla Plum.  
Króliczka. Niedźwiedzia polarnego z bezdroży.  
Nigdy oddzielnie. Zawsze w moim sercu.*





# Rozdział 1

*Koniec marca, Nowy Jork*

Cassie stała przed niedźwiedziem polarnym i wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Zwierzę stało na tylnych nogach, z przednimi łapami uniesionymi na wysokości jej głowy, tak że przypominały przygotowane do walki pięści boksera, a czarne wargi obnażały ostre kły – nie potrafiła oderwać wzroku od jego niewidzącego, lecz wciąż jeszcze groźnego spojrzenia. Zwierzę mierzyło dwa i pół metra i nawet to, że zastygło w gotowości do walki ponad osiemdziesiąt lat temu, nie odbierało mu onieśmielającego majestatu. Bez wątplenia to właśnie niedźwiedź dominował nad pomieszczeniem. Zgromadzeni krążyli wokół niego jak satelity, posyłając mu znad kryształowych kieliszków spojrzenia pełne nabożnej czci. Nawet przepych aksamitnych kreacji i szelest tafty nie mogły się równać z jego miękkim śnieżnobiałym futrem, muskanym mimochodem przez smukłe dłonie ozdobione biżuterią z szafirami.

Światło sączyło się z żyrandoli niczym płynny bursztyn, płomienie świec migotały na tle ścian wykładanych boazerią z orzecha, zdobiąc kolebkowe sklepienie drżącymi cieniami, a wypłowiałe dywany wciąż miękko układały się pod stopami, które – choć przywykły raczej do chadzania w rakach, kaloszach i nieprzemakalnych skarpetach – tego wieczoru stąpały lżejszym krokiem, obute w lśniąca skórę.

Cassie znów spojrzała na Henry'ego. Zaraz po niedźwiedziu polarnym to właśnie od niego bił największy magnetyzm – zebrani witali się z nim, klepali go po plecach, kiwali

głowami i z zainteresowaniem marszczyli brwi, wypytując o szczegóły wyprawy do Uzbekistanu w Góry Kuramińskie, która zapewniła mu członkostwo w otoczonym wciąż nowojorskim Klubie Odkrywców – to właśnie z tego powodu zgromadzili się tutaj w ten mroźny marcowy wieczór.

Za wielodzielnymi oknami padał deszcz ze śniegiem, a stłumiony zgiełk dochodzący z East 70th Street kłócił się z wypełniającym pomieszczenie jednostajnym pomrukiem prowadzonych półgłosem rozmów. Po obu stronach kominika umieszczono ciosy słoni, a na stole zastygłego w bezruchu geparda – pozostałości Starego Świata, które dawniej symbolizowały odkrycie nowego lądu, ustanowienie nowych granic. W otaczających ją przedmiotach Cassie wyczuwała pewną ironię. Były niczym *memento mori*, dowód, że człowiek powinien przeć naprzód, że życie na nikogo nie czeka. Niczemu ani nikomu nie udawało się zbyt długo zachować „tchnienia nowości”. I niewykluczone, że goście zgromadzeni w tej sali byli tego faktu świadomi bardziej niż wszyscy nowojorczyca razem wzięci. Ktoś musiał otworzyć drzwi na dole, bo wiatr zmarszczył ogromną flagę, która wisiała na przeciwległej ścianie niczym gobelin. Cassie rozpoznawała ciemnoniebieskie, białe i czerwone ukośne pasy oraz widniejącą pośrodku różę wiatrów, ozdobioną z obu stron inicjałami E oraz C.

– Wiedziałaś, że tę flagę mieli przy sobie pierwsi zdobywcy obu biegunów i że znalazła się też w najgłębszym punkcie oceanu, na szczycie Everestu i na Księżycu? – Brett przyniósł im drinki i podążył za jej spojrzeniem.

– Cóż, nie tę konkretną flagę – sprecyzowała Cassie i z uśmiechem odebrała od niego kieliszek szampana. – Ale owszem. Czy gdybym tego nie wiedziała, mogłabym się uważać za dobrą narzeczoną? Henry nie kochałby mnie nawet w połowie tak mocno, gdybym nie знаła stolicy Tadżykistanu, waluty obowiązującej w Peru, daty pierwszego lądowania na Księżycu czy preferencji żywieniowych plemienia Kombajów z Nowej Gwinei. Albo historii tej flagi.

Kelly się roześmiała.

– Kochałby cię, nawet gdybyś nie rozpoznała flagi Wielkiej Brytanii. Zakładając, że miałabyś na sobie tę sukienkę.

– Wskazała głową kreację od Valentino, którą tego wieczoru włożyła Cassie. Była to sięgająca ziemi, intensywnie czerwona, pozbawiona rękawów suknia z tafty. Górną część gorsetu ozdabiał rząd zgrabnych kokardek. Cassie wciąż z niedowierzaniem wspominała, jak Henry złapał ją za rękę i wciągnął do butikiu przy Madison Avenue, ujrzawszy tę suknię na wystawie. Na co dzień nie zachowywał się w ten sposób – nie mogli sobie na to pozwolić. Na konto bankowe odkrywcy nie wpływała comiesięczna pensja, a jego codzienność opierała się raczej na modelu biznesowym „wszystko albo nic” i choć dzisiejsze wydarzenie łączyło się z ogromnym zaszczytem, nie miało mu zapewnić środków na opłacenie czynszu. Mógł liczyć jedynie na to, że w niedługim czasie uda mu się zdobyć sto dwadzieścia tysięcy dolarów potrzebnych na załatwienie dziury w budżecie jego następnego przedsięwzięcia – ekspedycji, podczas której miał sfilmować nieodkryte dotąd podwodne rejony Arktyki. Program Środowiskowy ONZ wyraził gotowość, by dołączyć do grona sponsorów wyprawy, jeżeli twórcy dokumentu zgodzą się, by premierowy pokaz odbył się w czasie oenzetowskiej konferencji na temat zmian klimatycznych. Wciąż czekali na ostateczną decyzję. Henry liczył na to, że dzięki zaangażowaniu ONZ, jak również wizji zebrania przełomowych materiałów i danych, ich ekspedycja zostanie uznana za godną flagi Klubu Odkrywców, a tym samym przyniesie grant, który pozwoli im ją w końcu zrealizować.

– Dzięki. Rzadko noszę czerwień.

– Najwyższa pora, żebyś zaczęła. To twój kolor – odparła Kelly z charakterystyczną dla siebie emfazą.

Kelly pozostawała wierna czerni. Nieczęsto sięgała po inne kolory z wyjątkiem grafitu i granatu, a jej dzisiejszy strój – dopasowana sukienka koktajlowa od Alexandra Wanga i zapinane na kostce szpilki – był kwintesencją miejskiego szyku.

Długie ciemne włosy zawsze nosiła wyprostowane, a jedyne ustępstwo na rzecz koloru czyniła w kwestii ciemnoczerwonej szminki, którą podkreślała wargi. Żadna kobieta na świecie, bez względu na to, czy pochodziła z Osaki, Ottawy, Omanu czy Ohio, nie miałaby wątpliwości, że Kelly mieszka w Nowym Jorku: styl tego miasta dało się dostrzec nie tylko w jej słowach i gestach, lecz także w śmiechu. Choć trzeba przyznać, że tego wieczoru niewiele się śmiała. Prawdę mówiąc, zarówno ona, jak i Brett, którego poślubiła dwa lata temu, wyglądali na smutnych, a ich twarze ożywiały się tylko wtedy, gdy czuli na sobie czyjeś spojrzenie. Cassie ścisnęło w dołku. Sama niedawno się rozwiodła, więc rozpoznawała napięcie czające się w kącikach ich ust, nieco zbyt szeroko otwarte oczy, wlepiane w rozmówcę za każdym razem, kiedy zdarzyło im się nawiązać z kimś kontakt wzrokowy, oraz to, jak mocno koncentrowali się na innych zamiast na sobie nawzajem.

Choć Cassie niepokoiła się o Kelly, nie miała czasu z nią o tym porozmawiać. W ciągu ostatnich trzech dni, które spędziła z Henrym w Nowym Jorku, uczestniczyli w dwóch lunchach i pięciu przyjęciach, a to była ich trzecia kolacja na mieście. Cassie słaśniała się na nogach, choć energii dodawał jej fakt, że miała na sobie sukienkę za cztery tysiące dolarów, a blond włosami zajął się jej najlepszy przyjaciel Bas. Dzięki niezwykłym – i profesjonalnym! – umiejętnościom, z jakimi władał grzebieniem i suszarką, wystylizował, lekko natapirował i uczesał je w gładki kucyk. Cassie nie mogła się pozbyć jet lagu – nie odpuszczał ani w obliczu kolejnych wydarzeń towarzyskich organizowanych przez Bretta i Kelly, ani wobec napiętego grafiku Henry’ego, który spotykał się ze znajomymi i nawiązywał kolejne kontakty, jak zwykle szukając sponsorów. Jutro czekał ich lot powrotny do Londynu i Cassie wiedziała, że zamiast obejrzeć kilka filmów z rzędu, całą podróż po prostu prześpi.

– Wydajesz się zmęczona – powiedziała Kelly, przyglądając się, jak Cassie za wszelką cenę próbuje stłumić ziewnięcie.

– Ja? Nie, czuję się świetnie – odparła Cassie. Cztery miesiące, które spędziła w Nowym Jorku przed dwoma laty, nauczyły ją, że w tym mieście zmęczenie traktowane jest jak najgorsza zbrodnia.

– Za to ja padam z nóg. Nie wytrzymam w tych butach nawet trzydziestu minut.

Cassie i Brett spojrzeli na nią z niedowierzaniem. Zmęczenie? Obolałe nogi? Brett byłby chyba mniej zaskoczony, gdyby Kelly zwróciła się do niego z prośbą, aby od tej chwili zwracał się do niej per Bob.

– W takim razie... – Brett wydawał się zbity z tropu.

– Jeśli jesteście zmęczeni, wracajcie do domu. Nie musicie tu tkwić ze względu na mnie. Z przyjemnością poczekam na Henry'ego. Pewnie niedługo do mnie dołączy, a ja i tak muszę dokończyć rozmowę z facetem, obok którego siedziałam podczas kolacji. Podobno wrócił z wyprawy na wszystkie osiem biegunów.

– Na Ziemi jest osiem biegunów? – rzucił Brett z jeszcze większym zaskoczeniem.

Cassie wzruszyła ramionami.

– Pomyślałbyś? – Położyła dłoń na ramieniu Kelly. – Wszystko w porządku?

– Jasne. To był długi tydzień. – Wydawała się blada, a jej wzrok zdradzał, ile energii wkłada w to, by wykrzesać z siebie uśmiech.

– No proszę, jest i gwiazda wieczoru! – zawołał Brett wesoło.

– Hej! – Henry otoczył ramieniem smukłą talię Cassie i pochylił się, by pocałować ją w policzek. Kiedy znów się wyprostował i zobaczył, że przyjaciele uśmiechają się jakoś nadgorliwie, zapytał: – Co jest grane? Pewnie umieracie z nudów? Założę się, że stary Mayhew przyparł was do muru i musicie wysłuchać historii o jego wspinaczce na Chimborazo? Wiem, że nie wszystkich fascynuje kwestia, czy to rzeczywiście najbardziej odległy szczyt od środka Ziemi...

– Nic podobnego! – zaprotestowała Kelly. – Spotkałam tu dziś więcej interesujących ludzi niż w moim środowisku przez całą ostatnią dekadę. Tamci chcą rozmawiać tylko o luksusowych hotelach i nowych kurortach. Ludzie z twojej paczki są o wiele ciekawszy, mój mały Henry. – Mrugnęła.

Jednak Henry nie dał się tak łatwo nabrać.

– Dlaczego w takim razie czacie się jak lisy w kurniku?

Brett się roześmiał.

– Lepiej powiedz, czy udało ci się ich przekonać. Przydzielili ci flagę?

Henry uśmiechnął się szerzej i Cassie się rozluźniła. Na jego widok zawsze ugiwały się pod nią kolana – ciemne blond włosy kręciły mu się lekko za uszami i na karku, a niesforne kosmyki zawadiacko odstawały w okolicach skroni. Niesprawiedliwie długie rzęsy ocieniały jego lazurowe oczy, które bez trudu potrafiły czytać jej w myślach, a skórę miał permanentnie opaloną od ciągłego przebywania na otwartej przestrzeni... Te cechy w połączeniu z uśmiechem, który zawsze zdawał się przeznaczony wyłącznie dla niej, a także z granatową marynarką od smokingu działały na nią tak, że tylko cudem wciąż jeszcze samodzielnie oddychała.

Odszukała jego palce i wsunęła w nie dłoń niczym szukająca schronienia myszka. Ścisnął ją, w ten niewerbalny sposób zapewniając ją o uwielbieniu, miłości i oddaniu.

– Udało mi się umówić na spotkanie w Londynie w czerwcu. Jest jeszcze jedna wyprawa, której klub może przydzielić flagę, ale dano mi do zrozumienia, że jako ich najnowszy członek... – Henry zniżył głos niemal do szeptu, a dyskretnie spojrzenie, które rzucił im spod rzęs, potwierdziło, że pozostaje faworytem.

– Cholera! To świetnie! – Brett promieniał i wyglądał na autentycznie zadowolonego. Choć jako makler zarabiał rocznie cztery razy więcej niż przyjaciel, zafascynowany chłonał wszystkie anegdoty i opowieści o przygodach, których dostarczała Henry'emu jego awanturnicza profesja.

Kelly oparła rękę na ramieniu męża, jak gdyby próbowała go poskromić.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby Brett rzucił pracę i dołączył do twojej wyprawy jako wolontariusz, żeby badać arktyczne głębiny. Jeśli wspomni ci o tym choćby słowem, dasz mi znać, prawda? – Uśmiechnęła się szeroko. – My. Spłacamy. Kredyt – przypomniała mężowi, wypowiadając każde słowo tak, jak gdyby oddzielała ich kuloodporna szyba.

– Hej, znam swoje ograniczenia. Wprawdzie Henry’emu udało się złapać pracę w stylu Indiany Jonesa, ale do tego trzeba mieć charyzmę. Gdybym zwierzył się komuś, że chcę dotrzeć do najgłębszego punktu oceanu, przykuto by mi kulę do nogi i wepchnięto mnie do wody, a nie zaferowano w tym celu sto tysięcy dolarów!

Wszyscy się roześmiali.

– To wszystko nie wygląda tak różowo, stary – odpowiedział Henry z typową dla siebie skromnością. – Prawdę mówiąc, przydałaby mi się gwarancja zatrudnienia. Kiedy byłem młodszy, nie narzekałem. Między wyprawami żywiłem się kanapkami i pomieszkowałem u Suze i Archa. Ale teraz...

– Teraz masz piękną narzeczoną, która przywykła do luksusów... – dokończyła za niego Kelly, mrugając do Cassie. – A skoro o tym mowa, ustaliliście już jakiś termin, czy dalej zamierzacie nas trzymać w niepewności?

Cassie jęknęła.

– O Boże! Ty też?!

– Co? – zaśmiała się Kelly. – Z tej okazji muszę sobie sprawić nową kieckę.

– Możesz mi zaufać. Jak tylko będziemy coś wiedzieć, damy wam znać.

Kelly spojrzała na Henry’ego i uniosła brwi.

– Niewiarygodne. Jest z tobą zaręczona i wciąż gra trudną do zdobycia.

– Mnie to mówisz? – odparł Henry drwiąco.

Cassie zwróciła się do niego.

– Musisz jeszcze z kimś porozmawiać?

– Próbujesz zmienić temat, mała? – zapytała Kelly z szatańską miną.

– Nie! Chciałam się dowiedzieć, czy możemy już iść. Przecież to ty padasz z nóg!

Kelly skrzywiła się melodramatycznie, jak gdyby Cassie wpakowała ją w kłopoty.

– Wiedziałem! Umęczyliście się! – powiedział Henry poważnie i pokręcił głową.

Odpowiedział mu chór obruszonych głosów.

– Założę się, że to вина Cornella. Pewnie zanudzał was tyradą o biomach leżących w okolicach Genewy i Bajkału? Przyznajcie się.

Przyjaciele znowu zgodnie zaprzeczyli.

– Jesteśmy z ciebie dumni – odparła Kelly, klepiąc go po ramieniu. – Jeszcze długo będziemy opowiadać o tym wieczorze.

Henry westchnął, lekko zawstydzony.

– Pewnie ucieszy was informacja, że moja misja dobiegła końca. Dostałem elegancki prezent. – Wyciągnął z kieszeni marynarki krawat z logo Klubu Odkrywców. – Najadłem się, a niedługo na moje konto bankowe wpłynie zapewne pokaźny grant. Więc może skoczmy jeszcze gdzieś na drinka? W Village jest świetna mała knajpka, gdzie serwują spod lady pięćdziesięcioletnią whisky.

– Super – rzuciła Kelly nonszalancko, a po jej wcześniejszym zmęczeniu zniknął wszelki ślad.

Cassie omiotła wzrokiem majestatyczne suknie do ziemi, jakie obie z Kelly miały na sobie, zastanawiając się, jak ten wielkomiejski *dress code* zostanie przyjęty w barze, ale postanowiła się tym nie przejmować. W końcu Henry'emu udało się kiedyś przegadać mężczyznę, który w Jemenie mierzył do niego z pistoletu maszynowego.

– Świetnie. – Cassie się uśmiechnęła i wsparła na ramieniu narzeczonego. Czowała się senna.



Brett wyszedł wcześniej z nadzieją, że uda mu się złapać taksówkę, a Henry przyniósł okrycia. Kelly pożyczyła Cassie krótkie czarne bolerko ze sztucznego futra, które w najmniejszym stopniu nie chroniło jej przed zimnem, ale mieli przebywać na zewnątrz tylko przez chwilę, żeby prosto z budynku wskoczyć do samochodu, a wdzianko przynajmniej zakrywało jej ramiona.

Stali tuż za drzwiami klasycznej nowojorskiej kamienicy i ze środka podziwiali nakrapianą bielą noc, kiedy usłyszeli wołanie Bretta:

– Mam taksę!

Kiedy Henry pchnął drzwi, owionął ich gwałtowny podmuch wiatru. Kelly jako pierwsza zeszła po schodach, kierując się w stronę oczekującej ich taryfy. Gładkie chodniki lśniły w świetle ulicznych latarni, żółte taksówki miały ich w pośpiechu, nie zatrzymując się, by zabrać nowych pasażerów, a spod ich kół tryskały kropelki wody. Choć Cassie przygotowała się na wstrząs wywołany zimnem, nocne powietrze okazało się jeszcze mroźniejsze, niż sądziła. Ciasno otuliła się ramionami i drżąc, czekała, aż Kelly wsunie się na tylne siedzenie w swej obcisłej sukience. W trakcie kolacji wiatr się wzmógł i Cassie jednocześnie zaśmiała się i krzyknęła, kiedy kolejny powiew wyduł jej sukienkę niczym szkarłatny żagiel.

– Boże! Co za pogoda! – pisnęła.

W następnej chwili – niczym dar z niebios – jej ramiona spowiło ciepło, a palce zatopiły się w miękkim welurze. To Henry okrył ją swoją marynarką. Kiedy stanął za nią i ucałował w kark, z radością odwróciła głowę i odruchowo zamknęła oczy, a z jej ust wyrwało się westchnienie.

– Nie ma czegoś takiego jak zła pogoda... – wyszeptał, a Cassie poczuła na obnażonej skórze jego gorący oddech.

– Są tylko niewłaściwe ubrania – dokończyła za niego, z ła-twością rozpoznając wypowiedź jego odwiecznego idola sir Ranulpha Fiennesa. Była doprawdy idealną narzeczoną.

Zaimponowała mu. Zaśmiał się, a Cassie – równie z siebie zadowolona – żartobliwie uniosła brew. Odwróciła się, żeby

wsiąść do samochodu, kiedy tuż obok powoli przejechała taksówka, a zza szyby pokrytej kropelkami deszczu wyjrzała na nich czyjaś blada twarz. Jej wzrok utkwiony był w Cassie.

Wstrząśnięta kobieta aż zeszywniała, kiedy samochód minął ich i rozwiął się pośród nocy. Nie. W tym mieście mieszkało ponad dziewiętnaście milionów ludzi. To niemożliwe, by ujrzała właśnie tę jedną jedyną osobę, której nie chciała widzieć. Po prostu niemożliwe. Deszcz padał zbyt intensywnie i było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć, i właściwie nie dostrzegła żadnych szczegółów. To było raczej ogólne wrażenie.

A jednak... Wszyscy wiedzieli, że nawet patrząc kątem oka, potrafi rozpoznać przyjaciół po charakterystycznym dla nich chodzie.

– Cass? Wszystko gra?

Odwrociła się do Henry'ego, który przyglądał jej się z milczącym spokojem, podtrzymując ją za łokieć. Uświadomiła sobie, że wsiadając do taksówki, zastygła w pół kroku.

– Jasne – wydusiła z trudem, starając się zbyć to śmiechem, po czym usadowiła się obok Kelly.

Drzwi z łoskotem zatrzasnęły się za Henrym i choć Cassie poczuła na skórze ciepło jego ud, wciąż miała wrażenie, że chłód przeniknął ją do szpiku kości. Przeszedł ją dreszcz.

– Co ci jest? Zobaczyłaś ducha? – zażartowała Kelly.

Nie miała pojęcia, że trafiła w samo sedno.

## Rozdział 2

*Trzy miesiące później*

Nastał dzień, o czym świadczyła melodyjna wrzawa, jaką w koronie dzikiej jabłoni podnosiło dwieście sosnówek tuż za otwartym oknem sypialni Cassie. Kiedy delikatny wietrzyk musnął swym oddechem jej nagą skórę, poruszyła się nieznacznie, rozleniwiona i wypoczęta. Dłoń Henry'ego spoczywała w zagłębieniu jej talii. Przeciągając się, poczuła, jak on rozcapierza palce. Ciało Cassie napięło się pod jego bezwładną dłonią, a następnie rozluźniło i znów nabrało miękkości, którą Henry tak uwielbiał.

Jej drżące powieki kilkakrotnie otworzyły się i zamknęły niczym skrzydła wygrzewającego się w słońcu motyla, a pełne ptactwa kwitnące drzewo nabrało ostrości. Nigdy nie zasłaniali okien i nie musiała wyglądać na zewnątrz, by wiedzieć, że gdzieś nieopodal siedzi Breezy, kot pani Jenkins z piętra niżej, czekając, aż jeden z malutkich, radosnych ptaszków nieco zbyt długo zamarudzi na zacienionym trawniku.

Niebo przybrało już obiecującą błękitną barwę, a wąskie pasemka obłoków rozplywały się w powietrzu, ustępując miejsca pnącemu się wzwyż słońcu. Przy ulicy Embankment wzrastał się głuchy ryk silników. Westchnęła sennie. Zdążyła przywyknąć do tych dźwięków.

Do pomieszczenia wpadł kolejny podmuch wiatru i poruszył kartkami rzuconymi niedbale na wznoszący się na podłodze stos książek. Poderwał kilka arkuszy i ułożył je na macie z włókna kokosowego, tak że przypominały kamienie, po których można przejść na drugą stronę strumienia. Jej lekko

zapuchnięte oczy omiatały pokój zaspanym spojrzeniem. Ustawiony w dole kutego łóżka podnózek zniknął pod sto-  
sem ubrań. Obraz, który kupili na Targach Sztuki Dostępnej  
w Battersea Park, wciąż stał oparty o przeciwległą ścianę, cze-  
kając, aż Henry wreszcie przypomni sobie o kupnie gwoździ  
i go powiesi. Pudrowe róże, które podarował jej tydzień wcześ-  
niej, wciąż stały na komódce, jędrne i nadal świeże, a błękitne  
ściany sypialni miały niemal taki sam odcień jak niebo, przy-  
najmniej o tak wczesnej porze. Wzrok Cassie zatrzymał się  
na fotografii ustawionej na stoliku nocnym – przedstawiała  
ją i Henry’ego na ślubie Kelly i Brett’a, który odbył się nie-  
mal dwa lata temu, czyli właśnie wtedy, kiedy ona i Henry  
w końcu zostali parą. Było to jej ulubione zdjęcie – stali roze-  
śmiani i spoglądali na siebie tak roziskrzonymi oczyma, że  
postronny obserwator mógłby pomyśleć, iż fotografię zrobiono  
na ich własnym ślubie. Cassie obejmowała na nim Henry’ego  
za szyję.

Znów zamknęła oczy, a jej wargi rozciągnęły się w uśmie-  
chu. Dom.

Rzecz jasna, mieszkanie nie było idealne. Dziś nawet ona  
gotowa była przyznać, że jest dla nich za małe, ale po ponad  
dekadzie odgrywania pani na włościach w wielkiej szkockiej  
rezydencji uległa intymnemu czarowi „przytulności”. Zawsze  
używała tego słowa dla opisanego czegoś miłego: ognia na ko-  
minku, swetrów Henry’ego czy bulgoczącego kociałka chili  
con carne. Kiedy oglądali to mieszkanie po raz pierwszy, za-  
rzekała się, że bez trudu ograniczy ilość posiadanych rzeczy.  
Oznajmiła, że zostanie minimalistką. I tak nie pożądała żad-  
nych przedmiotów. Rozwód z Gilem udowodnił jej, że rzeczy  
nie potrafią ukoić złamanego serca, kiedy świat rozpada się na  
kawałki: moje krzesło, twoja lampa, twoje lustro, moje sztuk-  
ce... A Henry z dumą podkreślał, że na czele jego listy priory-  
tetów znajdują się doświadczenia, które zawsze cenił bardziej  
od przedmiotów (co nie oznaczało, że nie ubóstwiał swojej  
konsoli do gier ani plazmy zajmującej niemal całą ścianę

salonu. W sobotnie popołudnia Cassie odnosiła wrażenie, że ich mieszkanie zamienia się w trybuny jego ukochanego stadionu do gry w rugby).

I choć w tamtym czasie mieli dobre intencje, trudno, by dwoje ludzi budowało wspólne życie na czterdziestu trzech metrach londyńskiego mieszkania, nie wspominając o tym, że wykonywane przez nich zawody łączyły się z koniecznością przechowywania nieporęcznego wyposażenia. Henry jako profesjonalny odkrywca pod sofą chował czekany i raki, a na uchwytach biegnącej pod sufitem szyny do wieszania obrazów wisiały zwoje wielometrowych fluorescencyjnych lin wspinaczkowych. Cassie była współwłaścicielką firmy Eat'n'Mess, organizującej pikniki w stylu *vintage*, i podczas wytwornych wydarzeń towarzyskich ona i jej współpracowniczka podejmowały gości przysmakami ze staromodnych koszy piknikowych. W odróżnieniu od panieńskiego mieszkanka Kelly na Manhattanie, gdzie w nieużywanym piekarniku można było znaleźć kaszmirowe swetry, Cassie przechowywała blachy do pieczenia w szafie – tam gdzie powinny leżeć dzinsy – a zamiast pudełek na kapelusze miała pojemniki na ciasta. Kosmetyki trzymała w szufladzie na sztućce, a w kuchni brakowało stołu – zastępowała go misterna konstrukcja z wiklinowych koszy, w których można było znaleźć ogromną kolekcję elementów różnych zastaw i koców piknikowych w charakterystyczne walijskie wzory. W czasie kolacyjek organizowanych przez Cassie i Henry'ego goście musieli trzymać talerze na kolanach, siedzieć na odwróconych donicach z terakoty (lub na wielkim żółtym wiadrze, o które toczyli zażarte boje) na schodach przeciwpożarowych – imprezy te cieszyły się sławą nie tylko wśród ich przyjaciół, lecz także sąsiadów.

Owszem, mieszkanie było małe, ale Cassie uważała, że jest też śliczne. Do salonu o śmietankowych ścianach wpadały wszystkie promienie zachodzącego słońca, a na każdym z czterech parapetów uprawiali ogródek ziołowy:

Henry chciał, by za oknem ich sypialni rośla bazylii. Twierdził, że kojarzy mu się z Włochami i czasem, kiedy on i Cassie „prawie” się zeszli. Powiedział, że chce pamiętać, jak bardzo cierpiał, kiedy Cassie stanowiła część jego życia, jednocześnie znajdując się poza jego zasięgiem. Lawenda, która przypominała mu ogród matki, gdzie rzeczywiście się zeszli, kwitła na parapecie łazienki. Rumianek, z którego Cassie parzyła napary i który był pierwszym symbolem ich miłości, rósł za oknem salonu, natomiast tymianek i rozmaryn – za oknem kuchennym.

Uwielbiała to miejsce. Uwielbiała Henry’ego. Ich niepokładane życie nie mieściło się w normach i było właśnie takie, jakim je sobie wymarzyła. Henry poruszył się nieznacznie i przyciągnął ją do siebie, tak że niewielka przestrzeń dzieląca ich ciała zamknęła się, a oni znów stykali się ze sobą od stóp do głów i nic – nawet podmuch wiatru – nie mogło się pomiędzy nich wcisnąć.

Już miała ponownie zamknąć oczy, kiedy zerknęła na budzik przy łóżku.

– Cholera! – krzyknęła i gwałtownie usiadła. – Henry, zapaliśmy!

Polub nas  
na Facebooku 

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl

fot. Alexander James



## KAREN SWAN

jest autorką kilkunastu powieści, które regularnie trafiały na listy bestsellerów w Wielkiej Brytanii i wydawane są na całym świecie. Porzuciwszy karierę redaktorki w popularnych czasopismach modowych, mieszka w lesie w Sussex wraz z mężem, trojgiem dzieci i dwoma psami. Mimo że akcja jej książek zawsze toczy się w poruszających wyobraźnię zakątkach świata, a sama autorka często do nich podróżuje, swoje powieści tworzy w domku na drzewie, z którego roztacza się widok na pobliskie wzgórza. Trzecią książką Karen Swan, która ukaże się w Polsce, po *Miłości u Tiffany'ego* i *Lecie u Tiffany'ego*, będzie powieść pt. *Najlepszy prezent*.



# Lato TIFFANY'EGO

Cassie kocha Henry'ego. Henry kocha Cassie. Na jej palcu od dłuższego czasu połyskuje pierścionek od Tiffany'ego, pozostało im tylko zaplanować ślub. Jednak kiedy Henry naciska, by narzeczona ustaliła datę, Cassie się wycofuje.

Takich obaw nie ma Gem, szalona młoda kuzynka Henry'ego, która spieszy się do ołtarza. Jak najszybciej pragnie wziąć ślub z przystojnym Australijczykiem w kościółku na kornwalijskim wybrzeżu, w którym przed laty pobrali się jej rodzice.

Kiedy Henry wyjeżdża z Londynu, aby uczestniczyć w rejsie po Pacyfiku, Cassie postanawia dołączyć do jego rodziny wybierającej się na lato do Kornwalii. Ma nadzieję, że odnajdzie spokój, którego potrzebuje, by postawić kolejny krok w życiu. Jednak pośród wydm i zatoczek odkrywa, że nie rozprawiła się jeszcze z przeszłością. Zwłaszcza gdy ta przeszłość powraca do niej pod bardzo realną i pociągającą postacią...

**Niezbyt rozważna i bardzo romantyczna kontynuacja  
*Miłości u Tiffany'ego*. Doskonała nie tylko na lato**

Zrób sobie prezent  
TIFFANY'EGO



[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Polub nas  
na Facebooku



Nr 21000019

ISBN 978-83-8074-358-8



9 788380 743588

Cena: 44,90 zł

(w tym VAT)